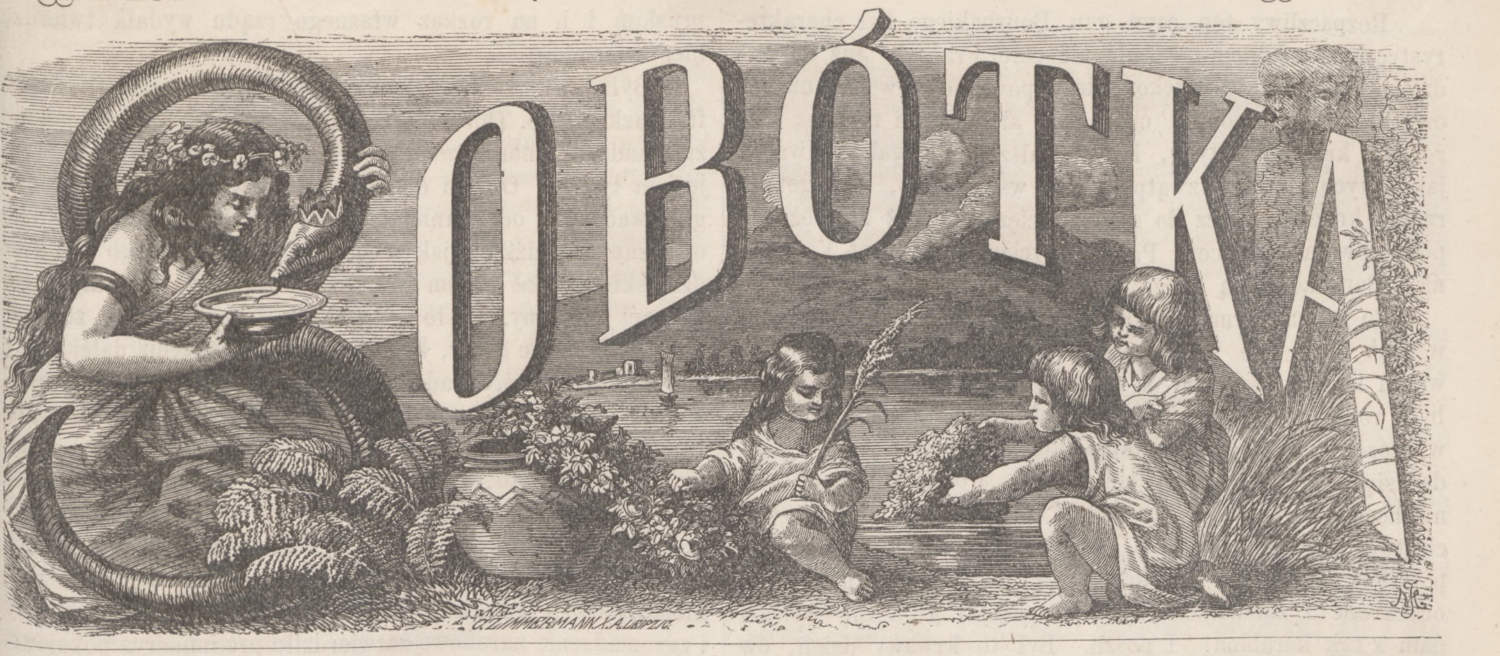
Nr. 13. Poznań, dnia 25. Marca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo $1^1/_2$ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

POKÓJ.

Wojna się skończyła. Ostatnie wysilenie Francyi, styczniowa kampania generałów Bourbakiego, Chanzego i Faidherba zakończyła się najfatalniéj. Armia Loary pod dowództwem Chanzego pobita na głowę musiała się cofnąć ku zachodowi, armię północną generała Faidherba uratowały przed wzięciem do niewoli lub wepchnięciem do Belgii, jedynie silne twierdze na północnowchodniéj granicy położone; najnieszczęśliwszy zaś los przypadł w udziale armii gen. Bourbakiego. Gen. Bourbaki opuścił w końcu Grudnia zeszłego roku swe stanowisko nad Loarą i pomaszerował w 80,000 ludzi na wschód, aby oswobodzić Belfort, zgnieść oblegającą tę fortecę armię Werdera i przerwać komunikacye armii pruskiéj z ojczystym krajem. Przecież los, niezdolność dowódzców francuzkich i niedoświadczenie młodego żołnierza sprzysięgły się, aby zniweczyć śmiały plan i spodziewany tryumf zamienić na okropną klęskę. Zaspy śnieżne i lodowa ślizgawica opóźniała marsz, młodzi żołnierze nie mogli wytrzymać trudzącego pochodu, a gdy wreszcie przywlokły się wojska pod Belfort, nie umielii dowódzcy ześrodkować swych sił i jednym wielkim zamachem rozbić armii pruskiéj. Generał Werder, którego zasługi należycie ocenione zostały w Niemczech, umiał powstrzymać dwa razy liczniejszą armię francuzką, dopóki nie nadszedł gen. Manteuffel z dwoma korpusami armii ks. Fryderyka Karola. Gen. Manteuffel przybywał od zachodu, z téj też strony uderzył on na Bourbakiego, a gen. francuzki wzięty we dwa ognie i przyparty do granicy szwajcarskiéj, znalazł się nagle w tém samem położeniu, w jakiem był Mac Mahon, gdy złożył broń pod Sedanem. By uniknąć téj fatalnéj ostateczności musiała armia francuzka przejść granicę szwajcarską i pozwolić się rozbroić władzom szwajcarskim. I otóż po trzeci raz w téj wojnie złożyła ogromna armia francuzka broń, wprawdzie tym razem nie przed nieprzyjacielem, lecz napędzona przez niego za granicę neutralnego państwa. I wodzem téj armii był generał cesarstwa, który osiwiał w usługach oddanych cesarstwu, któremu na znak szczególnéj łaski cesarskiéj było powierzone dowództwo gwardyi. Nie byłoż naturalnem, że w głowach gorących a nierozważnych urodzi się wnet myśl, że cesarski generał zdradził rzeczpospolitę? Niechaj kto chce liczbami i z kartą geograficzną w ręku udowodni, że generał był niewinnym, ogół go potępi; gdy namiętności się rozpalą, rządzi się i naród i pojedyńczy człowiek sercem nie rozumem, czuje nie rozważa. Wiedział o tém gen. Bourbaki, a ta straszna zmora zarzutu zdrady popchnęła szlachetnego a nieszczęśliwego człowieka do samobójstwa. Patrzącemu na zdziesiątkowane swe hufce, kopiące się przez zaspy śnieżne gór Jura ku granicy szwajcarskiéj, gdzie nie tryumfalne bramy, lecz jarzmo kaudyńskie je oczekiwały, odebrała rozpacz moc panowania nad sobą i chciał on wystrzałem z pistoletu położyć koniec moralnym męczarniom, które go przygniatały. Ale drżąca z rozdrażnienia ręka odmówiła mu posłuszeństwa, generał Bourbaki zranił się tylko w głowę, i staraniem kochającéj rodziny udało się uratować rannego.

Rozpaczliwy ten czyn gen. Bourbakiego był charakterystycznym znakiem usposobienia całéj Francyi. Już ani nadzieja, ani męzkie przekonanie o powinności wytrwania do ostatka przy narodowéj chorągwi, ale jedynie rozpacz kierowała krokami i tych, którzy dalszéj domagali się walki, jak i tych, którzy zwątpiwszy o wszystkiem, byli gotowi rzucić krwawy miecz do stóp zwycięzcy. Czyż nie rozpacz podyktowała obrońcom Paryża wycieczkę z Mont Valerien na zabarykadowaną drogę ku Wersalowi?

Po pobiciu armii prowincyonalnych i cofnięciu się tychże w głąb kraju nie mogła armia paryzka i marzyć o rozerwaniu kajdan, któremi ją opętała armia pruska. Ale cóż było robić? Żywności brakło, lada dzień przyjdzie chwila, w któréj poddanie się stanie koniecznością. Więc poddać się? My niechcemy się poddać, wołali żołnierze; my niechcemy się poddać, powtarzał lud paryzki. Ależ zwycięztwo jest niepodobnem, odpowiadali zimniéj na rzeczy patrzący. Lecz my niechcemy się poddać, my niechcemy oczekiwać z założonemi rękoma, dopóki głód nie wytrąci nam z rąk karabina! I poszli. Był to krwawy dzień, ów 19 Stycznia. gdy generał Vinoy ruszył przeciw stanowiskom pruskim na zachodniéj stronie Paryża. W żadnéj bitwie téj krwawéj wojny nie polała się tak obficie krew francuzka, po 400, po 500 trupów na jednem miejscu zawalało drogi, po których szły pułki francuzkie do szturmu na bateryе pruskie. Żołnierze przysięgali, że zwyciężą lub zginą, i odparci powracali do walki torując sobie drogę przez trupy swych rodaków. Ale nieubłagany los; czy tam zimna logika faktów, nie pyta się o przysięgi i uczucia, jakie się rodzą w piersi nieszczęśliwego. Linie pruskie nie zawahały się, szturm został odparty, i ten fantom nadziei rozwiał się z mgłą następnego poranka. Trzeba było spełnić kielich aż do dna i poddać się. I Paryż poddał się, a podpisał Favre kapitulacyą dnia 28 Stycznia. Zajęły wojska pruskie forty paryzkie, i jednocześnie zawarto zawieszenie broni na całą Francyę, które przecież już nie zdołało uratować armii Bourbakiego.

Zaczem rozpoczęły się układy pokojowe. Układy — to fałszywe zupełnie wyrażenie. Gdzie siły są równe, albo gdzie strona zwyciężona zdolna jeszcze jest do stawienia oporu, tam może być mowa o układach, lecz gdzie jedna strona jest wszechmocną, a druga zupełnie bezwładną, tam tylko o rozkazie i posłuszeństwie mówić można. Po kapitulacyi Paryża zaś i bitwach styczniowych była Francya zupełnie bezwładną; kto żąda dalszéj wojny, mówił jeden z generałów republikańskich w zgromadzeniu narodowem w Bordeaux, ten nie ma wyobrażenia o stanie, w jakim się znajdują nasze armie. To téż wysłańcy rządu francuzkiego, pp. Thiers i Favre, nie łudzili się ani na chwilę, wiedzieli dobrze, że przyjechali do Wersalu prosić o pokój, nie układać się i zgodzili się na wszystkie żądania Prus. Zgodzili się na odstąpienie Alzacyi i niemieckiéj Lotaryngii wraz z fortecą Metz, zgodzili się na zapłacenie kontrybucyi wojennéj w sumie pięciu miliardów franków, zezwolili na przemarsz tryumfalny 30,000 Prusaków przez Paryż. Jedynie alzacka forteca Belfort została przy Francyi w nagrodę bohaterskiéj obrony swéj załogi, która się oparła szturmom pruskim i li na rozkaz własnego rządu wydała twierdzę nieprzyjacielowi.

Była to straszna chwila, gdy nowy naczelnik rządu francuzkiego, p. Thiers, przedkładał te preliminarya pokoju zgromadzeniu narodowemu w Bordeaux i plaidował za przyjęciem tychże. Obecni deputowani Alzacyi i Lotaryngii mieli głosować nad oderwaniem ich rodzinnéj ziemi od wielkiéj ojczyzny francuzkiéj; jak niegdyś sejm Ponińskiego lub grodzieński, musiał i sejm francuzki wotować za rozszarpaniem własnéj ojczyzny. Było naturalnem i koniecznem, że podniosły się liczne głosy, które żądały prowadzenia daléj wojny bez nadziei, które radziły znieść raczéj wszelkie gwałty, aniżeli zatwierdzić ten haniebny traktat. Były dyktator Francyi, Gambetta, który złożył swój urząd, gdy o pokój traktować zaczęto, przewodniczył téj opozycyi. Wszystko było daremnem, zbrojne od stóp do głowy mowy patryotyczne nie stworzyły armii, ani nie otworzyły olbrzymich zapasów wojennych, które się wraz z Paryżem dostały w ręce nieprzyjaciół, frazesami niepodobna było prowadzić wojny i zgromadzenie narodowe zatwierdziło preliminarya pokojowe.

Kiedy Scipion pobił Hannibala pod Zamą, nie porwał się on wówczas na istnienie Karthaginy, ale nałożył potężnemu miastu takie warunki pokoju, iż ubezwładniły one na zawsze ową dumnę panią środziemnego morza. Była to zwykła polityka Rzymian, którzy słabym nieprzyjaciołom chętnie podawali rękę do zgody, potężnym zaś dopiero wtedy, gdy im już szkodzić nie mogli. Warunki pokoju pomiędzy Niemcami i Francyą mają widocznie na celu nietylko wynadgrodzić Niemcy za poniesione krwawe ofiary, ale ubezpieczyć je przed odwetem. Olbrzymia suma kontrybucyjna może rzeczywiście podkopać dobrobyt Francyi. Pięć miliardów franków, to 26,000 centnarów złota: liczba olbrzymia, którą myślą objąć nie łatwo. Czy zapłacenie téj sumy nie popchnie Francyi w przepaść bankructwa? Czy nie ziszczą się smutne przepowiednie p. Prevost-Paradol? Czy rzeczywiście Francya zejdzie z wysokiego stanowiska i pocznie powoli umierać, jak Hiszpania? Potrzeba śmiałości nierozumnéj prawie, aby rozstrzygać kwestyę takiéj doniosłości, bo chociaż w dziejach wszystko dzieje się logiczną koniecznością, to przecież nikt nie zdoła i najbystrzejszym rozumem rozedrzeć zasłony, która przyszłość narodów przed oczyma naszemi zasłania. Przecież tyle powiedzieć możemy, że gdyby to rzeczywiście miało nastąpić, gdyby rzeczywiście miały się spełnić słowa Paradola, to niechaj Francuzi nie warunkom twardym tegorocznego pokoju, lecz sobie samym te skutki przypiszą. Francya poniosła klęskę straszną, lecz klęskę li materyalną, a nie takie to klęski przyprawiają o śmierć narody. Zapobiegliwością i pomyślnością francuzką dadzą się odzyskać stracone miliardy, stracony kawałek kraju, jakkolwiek bolesny dla patryotycznie czujących obywateli, nie wydrze wszystkich sił czterdziestomilionowéj Francyi, ale bezustanna anarchia rozprzęgająca państwo, ubieganie się za roskoszą jako jedynym celem życia, które rozprzęga rodziny, przewrotne wychowanie wytwarzające z młodzieży spekulantów lub utracyuszów, o pustych sercach i płytkich rozumach: oto raki toczące społeczeństwo francuzkie, które je ostatecznie o śmierć przy-

prawić mogą. Jak łatwe a błyskotliwe zwycięztwa armii francuzkiéj odnoszone w Kochinchinie lub Mexyku pokrywały słabość jéj organizacyi i brak wykształcenia wyorderowanych' marszałków, tak świetne i eleganckie formy towarzyskiego życia Francuzów pokrywały świecącym się jak próchno blichtrem nadęte stósunki rodzinne i towarzyskie. Potrzeba było srogich uderzeń pruskiéj pięści, abyśmy się wszyscy przekonali, że co uważaliśmy za patryotyzm było frazesem, co uważaliśmy za rozum stanu było blagą, co uważaliśmy za geniusz wojskowy było umundurowanem niedołęztwem. Francuzkie społeczeństwo drugiego cesarstwa odsłoniło się brzydkie i spróchniałe, podobne nieledwie rzymskiemu za cezarów. Są pessymiści, którzy twierdzą, że z takiéj pochyłości już niema powrotu. Być może, ale dopóki społeczeństwo jakiebądź żyje, nie można osądzić, ile w niem obok martwych i spróchniałych ile jędrnych, zdrowych i młodzieńczych żywiołów się znajduje. Powtarzamy jeszcze raz: któż odgadnie losy narodów?

My z naszéj strony życzymy Francuzom i chcemy wierzyć, że klęska poniesiona stanie się dla nich datą odrodzenia moralnego, chcemy w to wierzyć, jakkolwiek ostatnie wypadki nie przemawiają za tém. Owoż właśnie przed tygodniem, 18 Marca, w oczach wojsk pruskich przypatrujących się z fortów od wschodu otaczających Paryż, podniosła partya socyalistyczna na przedmieściach paryzkich Montmartre i Belleville bunt przeciw prawemu rządowi republikańskiemu, powstańcy zamordowali zasłużonego w ostatniéj wojniéj komendanta gwardyi narodowéj, gen. Thomas, opanowali ratusz i zatknęli na nim chorągiew czerwoną. Pomijając to, że partya ta wywieszając owe godło kommunistycznéj republiki zagraża własności i pcha wszystkie klasy posiadające w ramiona zbawczego w takim razie nowego cezaryzmu, pomijając zatem tę fatalną dla republikanizmu we Francyi okoliczność, wzbudzają wypadki paryzkie 19 Marca wstręt i pogardę. Gdy jeszcze nie ciekła na polach około Paryża krew francuzka, którą wytoczyły granaty pruskie, aliści rozpoczął się krwawy rozterk domowy i na bruku paryzkim płynie krew francuzka przez Francuzów wylana. Czyliż rozpacz, czy brudne namiętności wytworzyły to szaleństwo?

Żeby ruch ten socyalistyczny rozporządzał wszelkiemi siłami, nie sądzimy. Raczéj brakowi energii obecnego rządu, który nie miał odwagi stłumić owego ruchu w samym początku, przypisać należy, że bunt tak groźne przybrał rozmiary. Zagrożony sam w swéj pozycyi weźmie się zapewne teraz energiczniéj do dzieła i wsparty przez rozumną część paryzkiego społeczeństwa, przytłumi porywających się na podstawę wszelkiego społeczeństwa wichrzycieli.

Na chwilę zaś nawet nie przypuszczamy, aby świeże te wypadki zniweczyć mogły ukończone dzieło pokoju, gdyż „vana sine viribus ira.“ Francya nie jest zdolną obecnie podjąć wojnę na nowo przeciw najpotężniejszemu państwu starego świata, pokój jest i dla jéj przyszłości obecnie koniecznym. Zdaniem więc naszem i pomimo 19 Marca wojna się zakończyła.

Już też jak jaskółki zapowiadające wiosnę, zjawiają się przedsłańcy pokoju, powracający z pola bitwy do domu żołnierze, ogorzali, o twarzach marsowo zarosłych, ale i nieraz schorzali, z utraconem na wieki zdrowiem. Już i część jeńców francuzkich opuściła niektóre miasta niemieckie, a internowani w Belgii i w Szwajcaryi powrócili wszyscy do Francyi. I cesarz niemiecki, i kanclerz niemiecki, i inni wielcy téj wojny powrócili do Berlina, a do 1 Maja spodziewają się ogólnie powrotu całego niemieckiego wojska do ojczystych ziem każdego. Huk dział zagrzmi jeszcze chyba jako odgłos tryumfu, żołnierze obu stron wrócą do swych codziennych zatrudnień i będzie pokój na ziemi.

A na długo? Żyjemy w żelaznym czasie. Co wojna obiecują nam, że to będzie ostatnia, że ostatnie krwawe ofiary poniesione dla ambicyi narodowéj lub państwowéj, a po wojnie widzimy tylko przygotowania do nowéj. Inżynierowie suszą sobie głowy nad wynalezieniem udoskonalonych maszynek do zabijania ludzi, ministrowie finansów nad wynalezieniem środków do utrzymania jak największéj liczby stałego wojska. I oto uzbrojony pokój, którego koniecznem następstwem jest to, że lada przyczyna pcha krociowe zastępy do walki na zabój. Ze wszystkich stworzeń najokrutniejszem jest człowiek, powiedział już jakiś Rzymianin.

Dr. **

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Ocierającą łzy znalazł ją na ławce Kanonik, który szedł czegoś wzruszony i niespokojny. Spostrzegłszy chustkę przy oczach, stanął i na ustach wyrazy już poczęte stężały.

„Co ci to jest, siostruniu?“

„A! nic! nic! — to tak — sama nie wiem.“

„Zdaje mi się że tylko co mówiliście z Julianem?“ spytał ksiądz.

„Przed chwilą, ale nie myśl żeby on był przyczyną, poczciwe dziecko! z jego powodu nie płakałam jeszcze.“

„A dla czegoż?“

„Mój Boże! czyż tego nie rozumiesz? serce matki gdy miłością wzbierze, musi się wylać łzami. .“

Choć nie przypuszczał żeby siostra taiła co przed nim, Kanonik ją badał wzrokiem długo.

„Jeżeli to tak tylko owe łzy rozczulenia, to dobrze,

siostro kochana, bo bym ci boleści nowéj nie chciał przyrzucić, a idę do ciebie ażeby się poskarżyć?"

„Mój Boże! cóż się tobie stać mogło!"

„No nic, nic, tylko — ot, powszedni smutek jaki po ludziach chodzi."

Westchnął i siadając dobył list z kieszeni. — Odebrałem od księdza oficyała, który mi jest zdawna przyjacielem list — list który mi daje do myślenia. Nigdym nie posądzał o niechęć dla mnie ks. Wikarego, bom mu do niéj nie dał powodu. Tymczasem okazuje się, że — z gorliwości jakiejś, biedne człeczysko czuje się w obowiązku mnie denuncyować u góry. Tam już i tak, my starsi księża, nawykli do innego nieco w kościele porządku, nie wiele mamy łaski. Wymagają dziś, (może to potrzebne na te czasy,) pokory, posłuszeństwa, zaparcia się starych naszych tradycyi... których nam nabyć trudno. Czasem się człek odezwie nie w tonie dzisiejszym, powie coś z serca, nadto gorąco... wszystko to notują. Jam zdawna tak zanotowany jako liberał, patryota i podobno demagog... Teraz jeszcze do tego przychodzi w dodatku że mnie odmalowano u zwierzchności jako opuszczającego się w spełnianiu obowiązków i zdzieciniałego... Ks. Wikary, jak się zdaje, radby mnie gdzie na emeryturę wyprawić, a sam probostwo posiąść... Podobno i kolatorowie pałacowi są za nim... Ja dla nich nie dosyć jestem surowy, nie dość orthodoxus..."

Westchnął.

„Czy mi odbiorą probostwo? — wątpię — ale zawsze rzecz bolesna."

Siostra słuchając opowiadania załamała ręce.

„A! niegodziwy, niegodziwy człowiek! Cóżeśmy mu uczynili!"

„Moja duszo, cicho! cicho! nawet nie mogę sumiennie powiedzieć niegodziwy. Może to robi ze źle zrozumianéj gorliwości, może ja — sędzią własnym być nie mogę — opuszczam się w istocie. Choć doprawdy, skrutuję sumienie, nic mi ono nie wyrzuca!"

„To po prostu nikczemna ambicya człowieka, który chce miejsce twe posiąść", odezwała się siostra.

„Miejsce! miejsce! mój Boże", zawołał Kanonik, „ja bym mu go chętnie ustąpił zresztą, gdybym się nadto do tego kąta nie przywiązał... Gdzież się podzieję? żyćbym indziéj nie potrafił — tu zaś — usunąwszy się z plebanii... ty wiesz najlepiéj, niemam nic, nie zebrałem ani grosza... jak się przekarmić?"

„Ale przecież mowy o tém być nie może?" podchwyciła siostra.

„Dotąd nie — jednak wypada mi pojechać i tłomaczyć się... Oficyał mi to radzi."

„A nie przysłał ci listu Wikarego?"

„Owszem, mam go — użytku jednak nie zrobię żadnego, ani mu dam poznać że wiem o tém..."

Jeszcze mówili, gdy żywy chód dał się słyszeć w ogródku i ks. Wikary z Julianem pokazał się w uliczce. Na widok jego matka Julka zapłonęła gniewem, Kanonik list schował, ale jednak nie dosyć prędko by oko bystre papieru nie dostrzegło. Ks. Wikary wiedział już, bo czyhał na brieftregera, że Kanonik od Oficyała coś odebrał.

Na żółtéj twarzy jego było trochę niepokoju czy przeczucia. Matka Juliana wstała z ławki i natychmiast odeszła, Kanonik z twarzą spokojną zbliżył się do ks. Leona, który bardzo pokornym, słodkim i prawie nadskakującym stał się.

„Mój księże Leonie", rzekł do niego, potrzebuję pomówić z nim co do zastąpienia mnie przez dni kilka. Będę musiał wyjechać... jestem powołany!"

Bystro spojrzał Wikary.

„Bardzo dobrze, wszakże ja zawsze gotów jestem do spełnienia rozkazów ks. Kanonika..."

„Muszę i Oleje przywieźć i inne mam interesa", rzekł proboszcz.

„Czy, uchowaj Boże — co... nieprzyjemnego?" szepnął ks. Leon.

„Zgadłeś ks. Wikary", uśmiechnął się Kanonik, „trochę mnie ktoś tam oskarżył, trzebo się wytłumaczyć. Możem też w czém i winien, trzeba przyjąć ojcowską burę z pokorą."

Żółta twarz Wikarego stała się na chwilę pomarańczową, siną, a potém białą — Kanonik patrzał na te zmiany tak spokojnie jakby na wieczorne obłoki.

„Lecz któżby mógł i śmiał", wybełkotał Wikary, „ks. Kanonika obwiniać? o co?"

„A no, zdaje się że może i jest o co", mówił Kanonik, okazuje się żem zestarzał, opuścił się, zaleniwiał. A temu wszystkiemu — dodał — to i Wasze winien, ks. Wikary, do zbytku mnie wyręczasz... Ludzie to widzą i wnoszą żem niedołęga. Odtąd mam prośbę jednę i konieczną do was, życzę sobie sam rozporządzać moją częścią pracy i sam ją sobie wydzielać. Zechciejcie mnie w niczém i nigdy nie zastępować, chybabym sam o to prosił..."

Powiedział to tak chłodno, grzecznie, bez najmniejszego odcienia gniewu i żalu, iż ks. Wikary sądził że mu zapewne coś donieść musiano, ale nazwiska jego pewno nie wymieniono. Odetchnął.

„Bardzo dobrze", rzekł zawsze niewyraźnie, „bardzo dobrze — wszak ja się stosuję do rozkazów ks. Kanonika."

Kanonik się skłonił.

W téj chwili list nie dobrze na prędce wetknięty w kieszeń wypadł na ziemię i ks. Leon z przerażeniem poznał pismo własne. Zdrętwiał... Kanonik schylił się, papiery zebrał i schowawszy je do kieszeni, pozdrowił go i odszedł.

Wikary stał długo nie wiedząc co począć. Sam był człowiekiem nadto namiętnym ażeby mógł przypuścić, że tu się bez zemsty i odwetu obejdzie. Spokój z jakim mówił Kanonik, wedle niego dowodził tylko, że potężne mając plecy wcale się nie obawiał. Należało więc tém bardziéj lękać się o siebie. Nie pojmował Wikary ażeby po denuncyacyi pozwolono mu tu dłużéj pozostać, i podróż tłumaczyła się tém, że Kanonik zażąda zmiany Wikarego. Mięszało to nadzwyczajnie wszystkie plany i roboty porozpoczynane ks. Leona, roboty tajemne, które jemu tylko samemu znane były, a których wykonanie długiego wymagało czasu. Stał tak, mimo zwykłéj swéj przebiegłości zrazu nie wiedząc co pocznie — przeniesienie zdawało się nieuchronném, a było dlań — zabójczem... Iść się ukorzyć przed pokrzywdzonym byłoby daremném, lecieć do pałacu żądać rady i protekcyi —

upokarzającem. Należało się przyznać do listu, a bądź co bądź, ten rodzaj honoru, choćby gorliwością osłoniony, chluby mu nie przynosił. Gubił się w myślach... nie mając siły ruszyć z miejsca.

Julian który był odszedł nieco, wrócił właśnie i zastał go jeszcze pod wrażeniem téj trwogi.

„Co ci to ks. Wikary?"

„Mnie? mnie? no — nic — nic... mam czasem takie uderzenia do głowy... Chodźmy."

„Przejść się?"

„A! nie, nie! ja muszę... zdaje mi się... może być że będę potrzebował do pałacu — przepraszam..."

I zostawiając zdumionego Juliana, odbiegł na wikaryę. Szło mu o to by został... aby go z miejsca nie wydalono — potrzebował tego koniecznie. Biedz do pałacu? jechać potajemnie aby Kanonika wypędzić zostawiając kościół bez obsługi? Spuścić się na los i pozostać nic nie czyniąc?

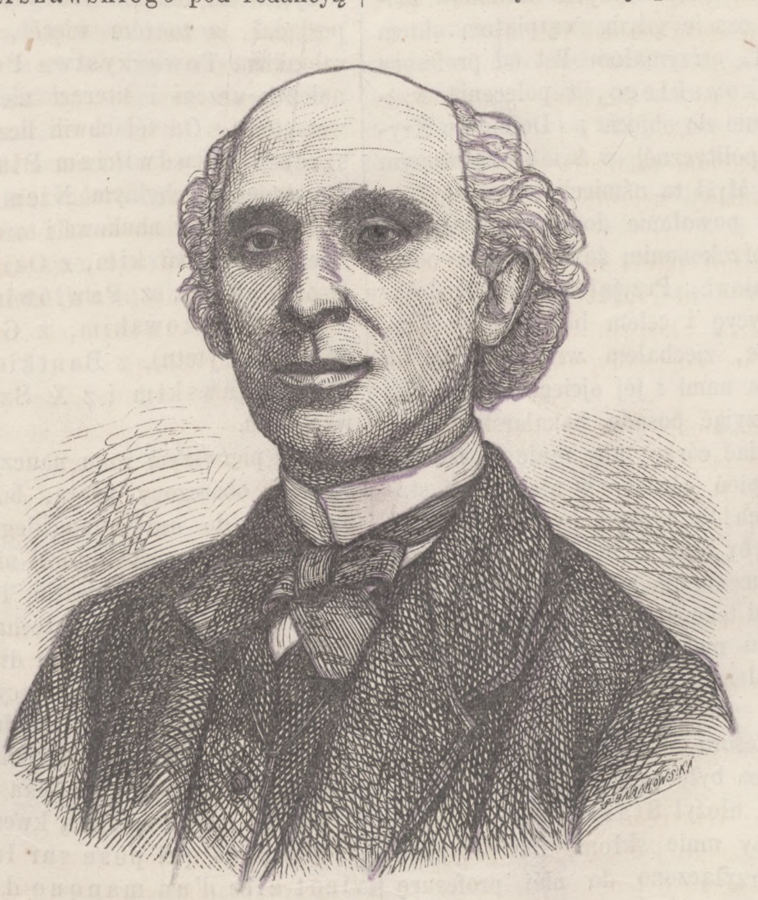
Z kolei błyskały mu te wszystkie myśli po głowie... a za którą miał pochwycić nie wiedział. Była nawet chwila że zamierzał wprost udać się do Kanonika, wyznać mu swą winę i prosić o przebaczenie... Nie postanowiwszy nic — chwycił kapelusz i szybkim krokiem uszedł z probostwa tak, że stary Eliasz, który go nieco szpiegował — nie mógł dopatrzeć dokąd... Szepnął tylko widząc go tak biegnącego:

„O! już go téż coś opętało! opętało! już poleciał... jak lis na kury... na polowańko! Ej! odkryję norę, ptaszku! odkryję, chociem kulawy... Bo że ty tu cóś niedobrego knujesz — to bym na ewangelią przysiągł..."

PAMIĘTNIK
FRYDERYKA HR. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Od powrotu mego na wieś zajmowałem się obok powyższych urzędowań, pracami literackiemi — pisywałem artykuły do Pamiętnika Warszawskiego pod redakcyą Bentkowskiego co miesiąc wydawanego; pracowałem ciągle od lat kilku nad tłómaczeniem miarowem i rymowem Anakreonta, i nad tłómaczeniem dzieła Ganilha: o dochodzie publicznym. Dziwić to może niejednego, że podjąłem pracę tak niewdzięczną i małego dla kraju użytku, jak tłómaczenie dzieła finansowego, wyłącznie prawie dla Francyi zastósowanego, lecz to nie był mój pomysł; Ordynat Zamojski upatrzył w tém dziele Ganilha użyteczność, któréj ja, zwłaszcza późniéj nie mogłem w niem widzieć, i kazał mię prosić o zajęcie się tłómaczeniem onegoż, ofiarując się łożyć koszta na druk tego tłómaczenia. Ja dotrzymałem słowa, dokonałem niewdzięcznéj pracy, a jak przyszło wydać dzieło, nie było tego ktoby mi pomógł, tak iż drukarz Dąbrowski podjął się tego wydania za prenumeratą, a ja żadnéj korzyści z téj pracy nie odniosłem.



Józef Rychter.
(Rytowano w drzeworytni Sobótki.)

W tym samym czasie t. j. w r. 1816 ogłosiłem drukiem moje tłómaczenie pieśni Anakreonta.

Nadarzyła mi się sposobność szczególna otrzymania nagrody za niewdzięczną pracę moją przy tłómaczeniu Ganilha. Hr. Capo d' Istria z rozkazu cesarza zwiedził był zakład wychowawczy Fellenberga w Szwajcaryi i ogłosił raport drukiem o tym Instytucie, monarsze złożony. Był to przedmiot który mocno zajął cesarza Aleksandra, tak iż wydał polecenie, aby ten raport był przetłómaczony na język rosyjski i polski.

Ówczesny minister sekretarz stanu Sobolewski, zlecił mi dokonanie tego tłómaczenia i ogłoszenia go drukiem, a gdy to nastąpiło, polecono mi złożyć jeden egzemplarz samemu cesarzowi; przyczepiłem do niego egzemplarz mojego Ganilha, który przy téj opiece maleńkiego pisemka, zjednał mi dar kosztownego pierścienia i pochwały w Gazetach urzędownie ogłoszone.

Do roku 1818 pędziłem czas między gospodarstwem wiejskiem w ulubionéj wiosce mojéj Orły, a zatrudnieniami literackiemi których ślady pozostały w Pamiętniku War-

szawskim i zwołaniem rady obywatelskiéj na posiedzenie, chwilowem urzędowaniem w Warszawie. Niemyślałem już w tym czasie o powrocie do stałego urzędowania i postanowiwszy poświęcić się gospodarstwu i życiu wiejskiemu, które zawsze najmilszem dla mnie było, zacząłem od roku 1817 myśleć o ożenieniu, a to tem bardziéj, że idąc za zwykłym trybem naszym spodziewałem się przez ożenienie polepszyć interesa moje i podnieść szczupły i upadający mój majątek. I w tym zamiarze pojechałem na cały karnawał do Kujaw dokąd mnie z różnemi projektami swatania szwagier mój powołał. Lecz zamiast udania się tam gdzie on radził, t. j. na reduty w Izbicy gdzie było kilka panien na wydaniu, udałem się do Włocławka gdzie żadnéj tutaj panny niebyło, a to przynęcony przyjemnem i doborowem towarzystwem, w którem cały karnawał r. 1817 przepędziłem.

Dopiero w ciągu lata tegoż roku wystąpiłem jako konkurent Praxedy Gzowskiéj, i po kilko miesięcznéj konkurencyi dnia 18 Czerwca 1818 roku pojąłem ją za żonę. Pierwsze chwile naszego pożycia były bardzo przykre, a to z powodu wymagań ojca mojéj żony, który przyjechawszy po ślubie do naszego miłego zakątka, był tem mocno obrażony, iż w bardzo małym domku mieścić się musieliśmy, i że całe gospodarstwo nasze dostatecznych dochodów nierokowało. W tym właśnie czasie gdym zwątpiałem okiem w moją przyszłość zazierał, otrzymałem list od profesora uniwersytetu Feliksa Bentkowskiego, z polecenia wyższego pisany, zachęcający mnie do objęcia po Dominiku Krysińskim katedry ekonomii politycznéj w świeżo założonym uniwersytecie warszawskim. Myśl ta uśmiechała mi się bardzo, bo czułem prawdziwe powołanie do stanu wyższego nauczycielskiego i miałem przekonanie, że w tym zawodzie potrafię być użytecznym krajowi. Przyjąłem więc bez wahania uczynioną mi propozycyę i celem bliższego porozumienia się z kim wypadnie, zjechałem wraz z żoną do Warszawy. Udał się tam za nami i jéj ojciec, mocno tém obrażony, że ja mógłem przyjąć posadę bakalarską, a to tak dalece, iż zaczął namawiać córkę, aby mnie porzuciła.

Taki to był jeszcze stopień oświaty w niektórych staroświeckich umysłach polskich! a gdybym był nie wytrwał w mojem postanowieniu, gdyby żona niebyła mi dotrzymała wiary i wytrwałości w odrzuceniu niedorzecznych rad ojca, byłbym się może odwrócił od tego świetnego zawodu, który dał kierunek użyteczny życiu mojemu i doprowadził mnie do téj drogi, po któréj trafiłem z czasem do zasługi i do poważania.

Ponieważ do posady profesora uniwersytetu przywiązane było tylko 6000 złp. płacy, co było za szczupłem do utrzymania naszego w Warszawie, ułożył Staszic wraz z Platerem Ludwikiem, iż aby mnie skłonić do przyjęcia katedry w uniwersytecie, przyłączono do niéj profesurę w nowo utworzonéj Szkole leśnéj, z któréj mi 3000 złp., płacy przybyło; lubo w ówczas żadnego jeszcze wyobrażenia o nauce leśnéj nie miałem, i tylko ogólne wiadomości administracyjne uczniom leśnym wykładać miałem.

Złożywszy w uniwersytecie program kursu Ekonomii politycznéj, ułożony przezemnie podług dzieła Krauzego komentatora Smitha, i co do części policyi podług Jakóba, i wypracowawszy kilka tylko prelekcyi naprzód, rozpocząłem zawód nauczycielski w uniwersytecie w miesiącu Październiku 1818 r. Pierwsze ukazanie się moje na katedrze, było dla mnie pewnym rodzajem tryumfu literackiego. Sala w któréj miałem wystąpić, była natłoczona dorosłemi uczniami, ciekawemi i kilku przyjaciołmi mojemi, którzy nie bez trwogi oczekiwali mojego przybycia. Jakkolwiek trudność nowego zawodu, i licznie zebrane audytoryum po większéj części zebrane ze znawców, powinny były wzbudzać obawę, nie czułem jéj bynajmniéj wstępując pierwszy raz na katedrę, i z taką pewnością w głosie i wykładzie odczytałem wstęp do moich prelekcyi, iż powszechne w słuchaczach wzbudziłem upodobanie, a to tém łatwiéj, że młodość moja w porównaniu z trudnościami zawodu, za mną przemawiała. Okolicznośc ta żem pierwszy z pomiędzy obywateli ziemskich, poważył się iść przeciw uprzedzeniu o małem znaczeniu do profesorstwa przywiązywanemu, przemawiała także za mną zwłaszcza w oczach młodych akademików.

Wejście moje do uniwersytetu otworzyło mi zawód literacki do którego się od najmłodszych lat sposobiłem i przeznaczałem. Przez to wszedłem w stósunki przyjacielskie ze wszystkiemi ludźmi naukowemi jakich kraj nasz w ówczas posiadał, a to tém więcéj, że wkrótce obrany zostałem członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, do którego należeli uczeni i literaci nie będący nauczycielami w uniwersytecie. Od téj chwili liczyła się przyjaźń moja ze Staszicem i Ludwikiem Platerem; i znajomość z mniéj dla mnie przychylnym Niemcewiczem. Odtąd moje codzienne niemal naukowe i towarzyskie stosunki z Kazimierzem Brodzińskim, z Osińskim, ze Skrodzkim profesorem fizyki, z Pawłowiczem mineralogiem, z Feliksem Bentkowskim, z Gołębiowskim (nienależącym do uniwersytetu), z Bantkiem Wincentym, Engelkiem, X. Szaniawskim i z X. Szweykowskim rektorem uniwersytetu.

W piérwszym roku nauczycielskiego zawodu byłem nadzwyczaj obarczony pracą, bo trzeba było wypracowywać prelekcye do uniwersyteckiego wykładu na trzy godziny w tydzień, w nauce o któréj nie było żadnego dzieła w Polskim języku w owym czasie, i w któréj potrzeba było témsamém wykształcić język techniczny, a obok tego starać się o to, aby być zrozumiałym dla uczniów do nowego dla siebie przedmiotu przystępujących. Pomimo to natrafiwszy w pismach publicznych na zadanie konkursowe przez Towarzystwo Holenderskie w Harlem ogłoszone, które mię mocno zajęło, poświęciłem dni kilka ciągłéj pracy i odpisałem po francuzku na następującą kwestyę: La grande quantité de pauvres qui pèse sur les pays de l'Europe provient elle d'un manque de moyen de subsistance en raison de la population, i tę dorywczo z zaprzeczającem zdaniem napisaną rozprawę do Harlem odesłałem. Niemając sposobności czytywania wszystkich pism zagranicznych a przynajmniéj nie natrafiwszy w żadnem na wzmiankę o sądzie Towarzystwa Harlemskiego, dowiedziałem się dopiero w kilka lat późniéj, że ta moja rozprawa otrzymała

na konkursie drugi medal srebrny, który jako miłą pamiątkę zachowuję dla dzieci.

W Marcu roku 1819 (dnia 23) zostałem ojcem i nowe a z wiekiem coraz silniej zajmujące mnie uczucie, pierwszy raz moje serce zajęło. Ale zarazem od chwili urodzenia się mego syna Józefa, zapadła matka jego na słabość, która stanęłą na przeszkodzie wszelkiéj nadziei mienia więcéj dzieci i stopniowo przez lat kilkanaście do przedwczesnego zgonu ją przysposabiała. W r. 1820 miała się udać na kuracyę do wód szląskich, gdzie dla zatrudnienia w uniwersytecie towarzyszyć jéj nie mógłem i za nastaniem wakacyi, jeździłem na parę tygodni do Gdańska ze znajomym który za sprzedażą pszenicy tam się udał. W téj podróży zajął mnie bardzo zamek Malborski, żyzne i doskonale uprawne błonia Nogatu, i sam Gdańsk jako miasto handlowe, tudzież widok morza wówczas nowy dla mnie.

Po ukończeniu roku szkolnego miałem już przygotowane prelekcye do następnych kursów, i chcąc ułatwić uczniom powtarzanie wykładanéj przezemnie nauki, zająłem się wydaniem Nauki Gospodarstwa Narodowego, po większéj części podług dzieła Krausa ułożonego, pod którym to tytułem, zamierzyłem wydać cały bieg Nauk Administracyjnych. Wydałem zaś tylko czystą teoryę Gospodarstwa Narodowego i Naukę Administracyi, tudzież: Krótki rys nauki finansów. W swoim czasie były te dzieła bardzo użyteczne i przyczyniły się niemało do upowszechnienia Nauki Ekonomii Politycznéj, lecz głównie służyły tylko jako kompendia do nauczania Uniwersyteckiego. W ośm lat późniéj ogłosiłem drukiem teoryę bogactw Towarzyskich w języku francuzkim, która nie tylko że nie była tłómaczeniem moich elementarnych zasad Gospodarstwa Krajowego, lecz nawet żadnego całego ustępu z tegoż dzieła w sobie nie zawierała. Rzadko się może kiedy zdarzyło, ażeby kto w jednym i tym samym przedmiocie dwa dzieła tak odrębne wypracował jak ja, ale bo też rzadko kto z autorów, niebędących nauczycielami, znajduje się w położeniu podobnem, aby przy wykładzie nauki swojéj, sam niedostateczność pierwszéj pracy swojéj mógł uznać, i natrafić przytém na nowe myśli w układzie swego dzieła, których użyteczność kilkoletnie doświadczenie profesorskiéj katedry, sprowadziło. Powziąwszy raz przekonanie, że drukiem ogłoszony pierwszy mój wykład Ekonomii Politycznéj, potrzebował poprawy i udokładnienia, odłożyłem go zupełnie na bok, nie zajrzałem wcale do mojéj książki, i zacząłem pisać nowe zupełnie dzieło, czyli raczéj nowe prelekcye dla uczniów moich, które zostają u mnie w polskim rękopiśmie nigdy drukiem nie ogłaszanym, a które następnie wytłómaczyłem na język francuzki. Tym sposobem napisałem dzieło p. t. Théorie des Richesses Sociales w r. 1829 drukiem w Paryżu ogłoszone, które zrazu znalazło dobre przyjęcie, następnie od jednego z autorów za zbyt teoretyczne uznane, i dopiero w 20 lat późniéj w Dykcyonarzu Ekonomii Politycznéj sprawiedliwiéj ocenione zostało. Blanqui, który dał to zdanie podobnie jak wszyscy francuzcy profesorowie, nie odłączał nigdy zastosowania od teoryi naukowéj, a jednak moje 12-letnie profesorskie doświadczenie dało mi to przekonanie: iż aby w młode umysły dobrze wpoić naukę, trzeba im naprzód wykładać samą teoryę czyli główne jéj zasady, aby następnie dopiero tem pewniéj do zastosowania przystąpić można.

Dwanaście lat życia mego w zawodzie nauczycielskim i literackiem przepędzonego, mogę liczyć do najszczęśliwszych; w nich doświadczyłem jak ciągła a użyteczna praca jest ważnym i głównym warunkiem szczęśliwości mojéj. Między rokiem 1818 a 1830, zawarte są chwile umysłowéj czynności, ukształcenia się naukowego i prawdziwego postępu mego; w tych latach uzupełniłem dopiero moje naukowe usposobienie i przysposobiłem te literackie prace, które mi zrazu wziętość i imię w świecie naukowem zjednały, a które w podeszłym wieku do zapomnianych policzyć musiałem.

(Dokończ. nast.)

ZWĄTPIENIE.

DO PANI S*** W POZNAŃSKIEM.

Pisać?... dla kogo? czyli dla téj tłuszczy
Co kark ugina pod mongolski bat?
Czy dla usłanéj grobowcami puszczy,
Gdzie wypisany jeden wyraz: kat?
Czy dla téj garści, co bez czci i wiary
Boi się zbrodni — a niezna ofiary?...

Któż dzisiaj, Pani, dzisiaj gdy ostatki
Ducha i duszy i myśli i krwi
Zlały się w jeden, konającéj Matki,
W jeden jęk straszny który z bolu drwi...
Któż dzisiaj jeszcze, sen, który się nie śni,
We łzy przeleje i w tony rozpieśni?...

Ja połamałem zardzewiałe struny —
Pierś moja z bronzu i z kryształu łzy...
A gdzie się zapał rodzi i pioruny —
Gdzie duch się karmi promieniami mgły —
Gdzie wiek po wieku swe ofiary liczy —
Tam nie śmie duch mój wzlecieć... niewolniczy!

O, droga Pani!... Czasem w samotności
Kiedy doleci do mnie Polski głos,
Chciałbym znów zbudzić serce do miłości —
Nieubłagany znów przebłagać los —
W zorzy promieniach i w tonach rozpłynąć,
Iść po nad światy i dla świata zginąć!

Chciałbym zapomnieć — i w zapomnień morzu
Utonąć!... Chciałbym kochać, cierpieć, żyć —
I rozwiać me śpiewy po niebios przestworzu —
Świecić jak tęcza i jak zorza lśnić —
U nóg anioła złożyć serce w dani...
To żarty tylko!... Nie wierz temu, Pani...

Bruksela 1869.

HENRYK MERZBACH.

POZORY MYLĄ

(ODGRZEWANA POWIASTKA)

napisał

J. Narzymski.

(Ciąg dalszy.)

Zostałem sam, z niedokończoném jeszcze cygarem. Siadłem więc na darniowéj pod lipą ławeczce i zamyśliłem się.

„Mój Boże!... więc są ludzie szczęśliwi na świecie!... więc są istoty, które mają wszystko czego pragnęły, o czém marzyły!... I dla czego mają to niektórzy tylko... a nie wszyscy?... Dla czego ten Zygmunt oto... żyje w raju prawdziwym, ma przy boku anioła?... Dla czego inni bez dachu, bez dłoni przyjaznéj przebijać się muszą przez życie w krwawym trudzie i znoju okropnym?... Prawda, że Zygmunt poczciwy, zacny... ale iluż to zacnych, poczciwych... ot ja naprzykład..."

„O źle! pomyślałem sobie, szatan się w tobie budzi, najobrzydliwszy z szatanów... bo szatan zazdrości i zawiści."

I rozgniewany sam na siebie rzuciłem resztę cygara, i powoli poszedłem w stronę balkonu. Choć się ze złych myśli otrząsnąłem niby, szczypały mnie one jednak jeszcze po trochu, i dla tego szedłem machinalnie i ze spuszczoną na piersi głową, niewiele wiedząc gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

„Nie, Zofio, nie!... takie życie niemożliwe dłużéj... umrzeć raczéj jak tyle cierpieć."

Wyrazy te, wymówione głosem przytłumionym ale namiętnym, wyrwały mnie z tych rozmyślań. Podniosłem głowę. Boczna ścieżka wijąca się po za gęstym kłąbem doprowadziła mnie do balkonu, stałem w téj chwili tuż przy schodach, ale gruba ciosowa balustrada i wielki wazon z kaktusem, zasłaniały mnie zupełnie. Na balkonie przy szachownicy siedzieli: Zygmuntowa i Henryk, szachy były rozstawione, alo oni nie grali.

„Ależ cierpliwości Henryku..." odezwał się głos miękki i srebrny, „widzisz jakie są przeszkody... cierpliwości troszeczkę... a będziesz szczęśliwym, przyrzekam ci to... wszak miłości jesteś pewien..."

„Oh! ty aniele mój", zawołał młody człowiek, i porwawszy dłoń Zofii namiętnie ją pocałował.

Mnie się w głowie zakręciło... zaćmiło w oczach... Oczywiście byłem mimowolnym widzem sceny miłosnéj... Kobieta, która mi się aniołem wydała, była nikczemną zalotnicą, hypokrytką wytrawną, człowiek, któremu przed chwilą zazdrościłem, był naprawdę najnieszczęśliwszym z ludzi... Opamiętałem się jednak szybko, chrząknąłem głośno, i wyszedłem z po za wazonu. Kiedym się ukazał, krzesło Henryka szybko w tył się cofnęło, a on spojrzał na mnie jakby mnie chciał połknąć. Rzuciłem okiem na twarz kobiety. Twarz ta była spokojna, uśmiechnięta, czysta,... w przezroczystéj głębi niebieskich jéj oczu sam Bóg mógłby się przejrzeć bez obawy. W głowie méj błysnęła wątpliwość...

„Możem ja się przesłyszał... omylił... bo czyż komedya tak daleko dojść zdolna..."

„Piu!... u kobiety!... czemu nie?..." szeptał mi mój sceptycyzm.

Zaczęliśmy rozmawiać o teatrze, o literaturze, o sztukach i ludziach. Henryk mało się odzywał. Pani Zofia mówiła o wszystkiem ze znajomością, ale bez pedanteryi, z tą bystrością poglądu która tylko kobietom jest właściwą, z tą ostrożnością w sądach która cechuje prawdziwie dobre wychowanie. Rozmowę tę dziwnie miłą i zajmującą, przerwał głos silny i wesoły Zygmunta.

„A co! pani Dobrodziejka przegrała zakład, mówiłem że będą na przybycie Ignaca..."

Obejrzeliśmy się. Czerwony, rozgrzany szedł wesoły gospodarz, a za nim lokaj na srebrnéj tacy niósł ogromny półmisek truskawek.

„A doprawdy są truskawki", zawołała pani Zofia w zdziwieniu składając białe rączki, „jak to dobrze!... jak dobrze!... i klaskać jak dziecko zaczęła.

„No, jeżeli ta kobieta jest winną", pomyślałem sobie, „to niech się Ristori schowa!..."

„A zakład, a zakład", wołał Zygmunt wbiegłszy już na balkon i szukając ust żony.

„Masz..." szepnęła i znów dwie karminowe wargi wyciągnęły się i znikły pod wąsami Zygmunta.

Choć nie lubię widzieć pieszczących się ludzi, gdy sam pieścić nie mam kogo, jednakże, par amour de metier, jako analizator serc, patrzałem bystro w twarz Zofii. Żeby też choć jeden drgnął muskuł, żeby się brew choć trochę ściągnęła, żeby choć ślad wstrętu, lub niecierpliwości... Gdzież tam!... Twarz ta cała była jednym pocałunkiem.

„Bo widzisz", zawołał nienasycony Zygmunt, zadowolniwszy się wreszcie pocałunkami, „bo widzisz utrzymywałem że truskawki w trebhauzie dojrzeją na twoje przybycie, Zosia mówiła że nie, więc zakład i wygrałem... No, zabierzmy się do téj nowalii... Siadaj Ignacy..."

„Dziękuję", rzekłem, ale owoców nie jadam nigdy..."

„O! jakaż szkoda... a ja tak na to liczyłem."

„Ale", dodałem przypatrując się truskawkom, „zdaje mi się że sprawiedliwie rzeczy sądząc, pani nie przegrała zakładu... truskawki te nie są jeszcze dojrzałe..."

„Oh! mylisz się Pan", zawołała pani, „to tylko taki kolor im właściwy, biedaczki, dojrzewają sztucznie, więc blade są i bez rumieńców..."

Zygmuntowie zabrali się z apetytem ludzi prawdziwie szczęśliwych do półmiska truskawek. Nawet blady i smętny Henryk pałaszował je, jak gdyby przed chwilą nie zamierzał przeciąć wątku drogich dni swoich.

Śmiano się, bawiono, gwarzono wesoło. Młode małżeństwo, z tym kolosalnym egoizmem, tak naturalnym u zakochanych, drażniło się, przekomarzało, godziło. Jakkolwiek podejrzenia moje osłabły, jednakże zwracałem baczną uwagę

na Henryka. Choć połykał zawzięcie truskawki, za każdą jednak pieszczotą Zygmunta lub Zofii, brwi się jego ściągały, oko ogniem błyskało, a cała twarz kurczyła nerwowo.

Spacer po ogrodzie, przejażdżka łodzią po stawie, oglądanie oranżeryi, zajęły mu czas do zmroku. Wszędzie też zamożność bez zbytku, ten gust dobry bez przesady, tenże ład bez pedanteryi.

Słupce były stanowczo prześliczną rezydencyą, pani Zofia najpowabniejszą z kobiet, mój przyjaciel najszczęśliwszym z ludzi. Gdyśmy wrócili na herbatę i gdy wniesiono światło, zauważałem, że twarz Henryka była bledszą jeszcze jak przedtém. Prócz tego był niespokojny, wstawał, chodził, wyglądał przez okno, siadał. Co gorzéj, i w ruchach i w spojrzeniach pani Zygmuntowéj dojrzałem zmianę widoczną. Uroczy uśmiech znikł, usta ściskały się często jakimś konwulsyjném drżeniem, odpowiadała krótko, nieuważnie, spoglądała bystro to na męża, to na kuzyna, była widocznie zniecierpliwiona, rozdrażniona, niespokojna.

„Źle“, pomyślałem sobie, „coś się tu niedobrego kluje.“

Jakby na potwierdzenie tego przypuszczenia, wszedł właśnie do salonu Zygmunt, który przed chwilą nas opuścił. Na twarzy jego miejsce wesołości i otwartości, zajął wyraz jakiegoś nieokreślonego cierpienia. Spojrzał ciekawie na żonę i kuzyna potém smutny, milczący, zakłopotany siadł i zaczął machinalnie pić herbatę.

„Czyżby się domyślał czego, czyżby co odkrył...“ I fantazya moja puściła się szlakiem kombinacyi, przypuszczeń, hypotez. (Dokończ. nast.)

JÓZEF RYCHTER.

(Z ryciną.)

Z pomiędzy wszystkich zawodów artysty, zawód artysty dramatycznego jest najniewdzięczniejszy. Od pierwszéj chwili działalności spotyka się on z przeszkodami, pod któremi nawet ckaraktery silne i miłujące sztukę nieraz ugiąć się muszą. W kraju naszym, gdzie nieprzyjaciele narodowego rozwoju nie tylko że sztuki téj niewspomagali, ale owszem wszystkich używali środków by ją poniżyć a nawet i zabić, zawód artysty dramatycznego nierównie trudniejszy jest niż gdzieindziéj. Język malarza i rzeźbiarza jest językiem kosmopolitycznym; szkołą dla nich zarówno być może Warszawa, jak Rzym lub Monachium, kiedy artysta dramatyczny tylko w języku własnym i na scenie własnéj kształcić się może. U nas jedyna Warszawa pośrednio wspomaga artystę i wpływa na rozwój jego poczuć artystycznych; ale nim się artysta na jéj scenę dostać może, potrzebuje już imienia głośnego i poparcia opinii publicznéj. Całem więc polem dla niego, na którem sił swych próbuje i rozwija je, jest ciasne pole teatrów prowincyonalnych. Komuż obcą jest ta chudoba a nieraz i biedy, które zwykle towarzyszą teatrom prowincyonalnym? Każdy z młodych artystów, będąc na łasce dyrektora, jest prawie zawsze przez niego wyzyskiwany, dopóki talentem i żelazną pracą nie zyska sobie wyższego stanowiska niepodległości artystycznéj, a poparty opinią publiczną, nie ukorzy dumnego swego władzcy i niezmusi do oddania sobie sprawiedliwości.

Większość używających dziś głośnego imienia artystów dramatycznnych wyszła z téj ciężkiéj szkoły, o któréj wyżéj mówiliśmy. Królikowski, Rychter, Teresa Palczewska, Modrzejewska, Rapacki i t. d., wszyscy przeszli trudne próby zawodu swego, pielgrzymując od grodu do grodu, aż nim ich matka Warszawa w domu swem miejsca nie dała.

Jeden z poważnych literatów warszawskich zachęcał pp. Rychtera i Królikowskiego do skreślenia pamiętników swoich. Rzeczywiście, byłaby to praca bardzo wdzięczna; odkryłaby nam bowiem wszystkie tajniki życia artysty prowincyonalnego, z jednéj strony pełnego poezyi i laurów, a z drugiéj biedy i obojętności publicznéj.

Józef Rychter urodził się w mieście Kraśniku, w gubernii lubelskiéj, w r. 1820; nauki pobierał w szkołach lubelskich, a następnie w Szczebrzeszynie. Po ich ukończeniu, wcześnie bo jeszcze młodzieńcem idąc za popędem wrodzonym poświęcił się zawodowi dramatycznemu i przyjętym został do trupy krakowskiéj p. Chełchowskiego. Kto zna przeszłość teatru polskiego, ten nie może nie uznać zasług Chełchowskiego. Umiał on nietylko właściwy wybór między zgłaszającemi się ochotnikami zrobić, ale prócz tego potrafił każdego z nich na właściwą popchnąć drogę. To też zaraz w początkach jego dyrekcyi w Krakowie, gruntowny krytyk Hilary Meciszewski napisał że „towarzystwo to, tak nawet jak jest dzisiaj usposobione, jest dla teatru krakowskiego nader pożądanym nabytkiem, przyszłość zaś może je wykształcić do tego stopnia, iż będzie czołem i ozdobą polskiéj w ogóle sceny.“

Jakkolwiek Józef Rychter wtenczas jeszcze pierwsze kroki w zawodzie swym stawiać począł, nieuszedł jednak bacznéj uwagi krytyka. Pisze on:

„Z drzewa takiego jak pan Rychter, robieni bywają prawdziwi artyści, p. Rychter przodkuje pod każdym względem artystom teatru naszego i jest ich towarzystwa celną ozdobą. Jeżeli biegłość w sztuce zrówna u niego kiedy talentowi, który jest kolosalnym, p. Rychter będzie artystą dramatycznym jakich u nas niebyło wielu. Pan Rychter występuje na scenie naszéj we wszystkich rodzajach dramatu i w każdym jest na swojem miejscu, każdego role odgadnie, każdéj roli charakter sobie przyswoić potrafi i tak przyswojonemu zadosyć uczyni. Zdaje mi się jednak że przy obfitości środków, jakiemi mu talent rozporządzać pozwala, p. Rychter znalazłby daleko większą sposobność odznaczyć się w tragedyi, aniżeli w komedyi; wprawdzie rodzaj dramatu talentowi jego odleglejszą zakreśla metę, lecz za to otwierając przednim obszerniejszą i świetniejszą scenę, obiecuje mu tym samym daleko wyższéj wartości wieniec; choćby dla tego, że jest rzadszy i będzie trudniéj zapraco-

wany, że wreszcie talentu takiego jaki ma pan Rychter o wiele więcéj będzie godny.“

Po Chałchowskim objął dyrekcyę teatru krakowskiego, Meciszewski. Była to świetna epoka sceny w starożytnym grodzie Jagiellonów, a do téj świetności w większéj części przyczyniał się talent p. Rychtera. Józef Kremer po przedstawieniu Dziewicy Orleańskiéj Szyllera w obszernéj rozprawie pod tytułem „Kilka słów o Szyllerze, Dziewicy Orleańskiéj i wystawieniu jéj na teatrze krakowskim“ oceniając grę wszystkich artystów, szczególną zwrócił uwagę na Józefa Rychtera i tak przegląd swój kończy:

„Wystawienie samego dramatu, w porównaniu z całą przeszłością teatru w Krakowie, było tak celujące, iż wszelkie porównanie nawet miejscaby mieć nie mogło.“

Od r. 1845 Józef Rychter opuścił teatr krakowski i przeniósł się na scenę warszawską. Jemu to głównie Warszawa zawdzięcza wskrzeszenie i utrzymanie w repertuarze genialnych utworów hr. Alexandra Fredry, jak: Zemsta za mur graniczny, Dożywocie i Pan Jowialski.

Publiczność nasza w Poznaniu miała sposobność ocenić we wszystkich tych trzech komedyach grę Józefa Rychtera. Któż z nas straci z pamięci ową z lepszych czasów wskrzeszoną postać Cześnika Raptusiewicza, pełnego serdeczności, ale obok tego i pełnego animuszu szlachcica?! Komuż żywo nie stoi przed oczyma chwila w któréj wróg Cześnika, rejent Milczek zjawia się w domu jego i kiedy rozdrażniony tą śmiałością gospodarz w uniesienin chwyta za szablę, lecz prędko ostyga w zapale mówiąc:

„Nie wódź mnie na pokuszenie,
Ojców moich Boże!
Wszak gdy wstąpił w progi moje,
Włos mu z głowy spaść nie może.“

Wprost przeciwną postacią jest postać pana Jawialskiego. Tamten butny i zawadiacki szlachcic, ten dobry, łagodny i wesoły staruszek. K. Wł. Wojcicki tak charakter ten maluje:

„Dobroć i łagodność przy dawnéj a już nieznanéj jowialności, odbijają się na jego sędziwem obliczu, w każdem jego słowie i całéj postaci. Z tą pocieszną, a zawsze miłą postacią przenosi nas Fredro w owe czasy dawno przebrzmiałe, gdzie wśród swobody, spokoju tacy Jowialiści przewijali się gęsto i ożywiali zebrania towarzyskie. Wacław Potocki, twórca poematu bohaterskiego Wojna Chocimska, napisał wierszem sporą księgę, któréj dał napis Jovialitates, bo w niéj zebrane dowcipy i anegdoty z ust takich Jowialskich zgromadził.“

Tak jak wyżéj powiedzieliśmy Cześnik i Jowialski chociaż może z jednéj epoki są to dwa charaktery różne całym swoim kolorem; a jednakże Józef Rychter oddał oba zrówną prawdą i naturalnością. Do kontuszowych postaci szczęśliwie przez artystę tego stworzonych należy „Pan Stefan z Pokucia“ z monodramu Aleksandra Ładnowskiego. — Utwór sam z siebie słaby, ostać się na scenie potrafił tylko artystyczną grą Józefa Rychtera.

Prócz ról które wymieniliśmy z niemniejszem powodzeniem oddaje artysta ten typy ludowe. Postać szewca z Zofii Przybylanki komedyi Fryderyka hr. Skarbka, i typ chłopa krakowskiego w Mieszczanach i Kmiotkach, w grze jego odznaczają się prostotą i prawdą. Każda postawa, ruch, giesta, wyraz oblicza zgodnie odpowiadają naturze tych postaci.

W świeżéj mamy pamięci poczciwego Bambetę z komedyi Trefniś. Komedya sama przez się niema zalet któreby grę artysty wspomagać mogły; jednakże w ustach pana Rychtera rola Bambety oddana z dobroduszną prostotą i z ujmującą naiwnością cały utwór interesującym i powabnym czyni.

Nieszczęśliwym stosunkom teatru warszawskiego i ciążącéj nad nim cenzurze przypisać należy, że talent ten nie miał sposobności rozwinąć swoich darów w poważniejszym dramacie. W pierwszych latach jego artystycznéj karyery na scenie krakowskiéj, Hilary Meciszewski i inni współcześni zapewniają, że wybitną cechą talentu Rychtera, były kreacye tragiczne jak starego Moora w Zbójcach Szyllera i w Paryi Delavigne'a

W historyi teatru warszawskiego epoka w któréj równocześnie występowali Żółkowski, Józef Komorowski, Jan Królikowski, Halpertowa i Rychter należy do najświetniejszych. Wpływowi tych artystów przypisać należy ożywienie się sceny i wykształcenie smaku artystycznego w Warszawie.

Od roku już, po dwudziestu latach pracy przy teatrze warszawskim, a po trzydziestu zawodu artystycznego, Józef Rychter otrzymawszy emeryturę opuścił scenę stołeczną i obecnie występuje tylko w rolach gościnnych po większych teatrach na prowincyi. Na scenie naszéj w Poznaniu już poraz drugi mamy przyjemność widzieć p. Rychtera. Dla młodéj sceny jest to nabytek chociaż chwilowy ale wielkiego znaczenia. Prawda że w obec słońca mniejsze planety gasnąć muszą i że postać takiego jak p. Rychter artysty, ze szkodą miłości własnéj młodszych braci w zawodzie, wyłącznie na siebie uwagę wszystkich zwraca, ale z drugiéj strony miłujący sztukę młody artysta ma przykład niczém nieopłacony, obudza w sobie wyższe poczucie piękna i tém samém talent swój na wyższy szczebel podnosi.

Ażeby w teatrach prowincyoalnych, istniejących pod bardzo smutnemi warunkami, przeciążonych pracą, nie zaginęło wyższe poczucie piękna, ażeby teatr nie przestał być świątynią sztuki, ażeby przedrzeźnianie, trefnisiostwo i karykaturowanie nie zajęło miejsca wyższéj komiki, potrzeba koniecznie od czasu do czasu odświeżać go przykładami artystów stojących na tym stopniu na jakim stoi artysta, któremu te słów kilka poświęciliśmy.

Dr. J. K.

ŚLIWNIKI.

(Zobacz rycinę w Nr. 10.)

— Jakże to wasze małe Księstewko dużo posiada skarbów! — rzekł do mnie na ostatnim niedzielnym „raucie“ z westchnieniem jasnowłosy kongresowianin.

— Przejedź się tylko — odparłem — po naszéj wielkopolskiéj ziemi, gdy maj w świeżą ubierze ją zieleń, gdy wonne bzy zakwitną a śród nich słowiki zanucą pieśni miłosne tym nadobnym boginiom, które tu zebrane dziś widzisz a które na wiosnę zakrólują każda w rodzinnym pałacyku lub zameczku — a wtedy dopiero powiesz koroniarzu, że Księstwo nasze jest piękne i odjechać zeń jest — bardzo trudno... Chceszli młody przyjacielu, a zapoznam Cię nieco z naszą prowincyą. Będziem podróżowali po staropolsku, rzemiennym dyszlem, od komina do komina. Wszędzie znajdziesz gościnne przyjęcie, nieraz pańskie i wspaniałe. Zobaczysz niejedno wzorowe gospodarstwo lub świetną zarodową owczarnią, piękne angielskie parki lub staroświeckie tu i owdzie szpalery obok bogatych owocowych ogrodów, pałace i wille najrozmaitszych kształtów i stylów a w nich...

— Nie rozdrażniaj, Szeligo, méj zaciekawionéj fantazyi, ale raczéj przenieś mnie natychmiast do jednego z tych uroczych waszych ustroni, bym poznawszy jedno, zapragnął poznać ich więcéj.

— A więc posłuchaj.

Na obszernéj płaszczyznie, ozłoconéj latem falami pszenicy, na trakcie z Ostrowa, słusznie nazwanego „zniemczonym“, ku Skalmierzycom, które to miejsce w ostatnich czasach dzięki polemice przedwyborczéj historycznego nabrało znaczenia, uderzy Cię zdala biała, wyświeżona, murowana wieś, śród któréj z za wieńca drzew wspaniały pałac wyniosłą wieżą strzela ku błękitom niebios. Gdybyś przed laty dwudziestu był tu przejeżdżał, inny byłby spotkał Cię widok. Chaty wieśniacze chyliły się ku upadkowi, zabudowania dworskie chwiały się jak starce nad grobem, a choć rozległy majątek ten, do którego należą wsie Podkoce, Mączniki, Węgry I i II, oraz folwarki Kowalewko i Niemojowo, od półtora blisko wieku dzierży jedna i ta sama rodzina, z gniazda starożytnego, o czém świadczy Wielądek, i dostatniego, nie było w nim rezydencyi, którąby świetnością swą odpowiadała stanowisku i mieniu właścicieli. Dopiero dwudziestoletnia gorliwa praca, zabiegi i wyborny smak teraźniejszych dziedziców Śliwnik potrafiły nadać siedzibie państwa Nepomucena i Joanny z hrabiów Ponińskich Niemojowskich tę powierzchowność, która dziś czyni je ozdobą nie tylko powiatu odolanowskiego, ale także jedną z najpiękniejszych włości Księstwa. Stanęły zwolna schludne a nawet ozdobne dla wieśniaków mieszkania murowane, budynki gospodarcze, z których każdy w innym wzniesiony stylu, mianowicie śpichlerz rysunku znanego pana Gallego z Warszawy i sklepione stajnie, wsparte na kolumnach żelaznych, utworzyły foremny pięciokąt; wreszcie śród uroczego ogrodu, ulubionego pieścidełka pani domu, rozsiadł się obszerny pałac a raczéj zamek, uzbrojony w strzelnice i baszty, ozdobiony mnóstwem lekkich balkonów, z których prześliczny na okolicę otwiera się widok. Z wieży, stojącéj w narożniku jakby na straży pałacu, powiewa chorągiew o barwach herbowych, a „Wierusz“ Niemojowskich obok „Łodzi“ Ponińskich harmonijnie odbija od ciemnych, dobieranych cegieł, z których gmach zbudowany.

Wspomniałem już o ogrodzie obejmującym pałac zielonemi, wonnemi ramiony. Założony i pielęgnowany z wielką umiejętnością i nakładem, mieści śród aksamitnych trawników i bukietu cienistych klombów, uplecionych z drzew i krzewów najrzadszych, symboliczne kamienne statuy, piękny posąg Św. Jana Nepomucena z pracowni p. Antoniego Krzyżanowskiego w Poznaniu, oraz dwie oranżerye, bogato zaopatrzone w przecudne kwiaty i zagraniczne rośliny. Do ogrodu i dziedzińca wiodą bramy z misternie wyrabianego bronzu, których strzegą metalowe brytany z jednéj z najznakomitszych lejarni berlińskich. Przed pałacem tworzą wielkie bryły kamienne sztuczną grotę, śród któréj szemrze z cicha wodotrysk. Dwa lwy naturalnéj wielkości, także z lejarni berlińskiéj, spoczywają w majestatycznym spokoju po obu stronach tajemniczéj groty, która śród skwarów lata dostarcza orzeźwiającego chłodu chroniącym się do niéj mieszkańcom pałacu.

Naprożno starałbym się opisywać tutaj bogate, sklepione pałacu komnaty i zdobiące je dzieła sztuki, umyślnie z Włoch sprowadzone, oraz wodzić czytelnika po licznych krużgankach, łączących dolne piętra z górnemi, wreszcie podać mu obraz staropolskiéj gościnności, jaką śliwnicki pałac się odznacza. Kto raz doń zawitał, ten bezwątpienia miłe wyniesie zeń wspomnienie, tém milsze, że znajdzie w nim serca zawsze gorąco bijące dla sprawy narodowéj i dłonie hojne na każden cel szlachetny. Rzekłbyś, że tradycya znakomitych patryotów Wincentego i Bonawentury Niemojowskich przyświeca, jako lampa przewodnia, dzisiejszym Śliwnik właścicielom. Oby ona i w przyszłości nigdy nie zagasła!...

Szeliga.

Do Czytelników naszych.

Myśl poruszona w Sobótce, utworzenia funduszu na nagrodę za najlepszy utwór dramatyczny napisany dla sceny Poznańskiéj, sympatyczne poparcie w publicystyce naszéj znalazła. Jesteśmy silnie przekonani, że i publiczność ważność jéj pojmie, bo jeżeli Teatr narodowy ma w skutkach swych przynieść korzyści, których się po nim spodziewamy, koniecznem jest ażeby wszystko co na jego scenie przedstawionem będzie, nosiło cechy moralności i prawdziwego piękna, w końcu ażeby utwór opierał się na naszych narodowych stósunkach. Ponieważ dział dramatyczny w literaturze naszéj w zupełnem jest zaniedbaniu, bo ani ze strony teatrów, ani ze strony publiczności wspomaganym nie jest, postanowiliśmy zająć się zebraniem funduszu, i gdy takowy w rękach naszych będzie, ogłoszeniem konkursu dramatycznego.

Z wiarą w ofiarność publiczności naszéj odzywamy się do niéj o nadsyłanie datków na cel ten pod adresem **Redakcyi Sobótki** lub **Dziennika Poznańskiego**; a gdy suma talarów 300 dojdzie, powierzymy ją sędziom konkursowym i równocześnie warunki konkursu ogłosimy.

Nazwiska nadsyłających i ilość ofiary w każdym numerze Sobótki ogłoszane będą.

Redakcya Sobótki.

Na Fundusz Konkursowy złożono:

Na zebraniu prywatnem 5 tal.; Pan R. K. 10 sgr.; Pan W. 10 sgr.; Pan H. 1 tal.; Pan Kajetan Andrzejewski, typograf, $7^1/_2$ sgr.; Pan Walenty Jastrzębski, typograf, 15 sgr.; Pan Baron A. 1 tal.

Szarada.

Nieszczęsny na kogo pierwsza z drugą spadnie,
A drugiego z pierwszą szukaj w wodach na dnie,
Druga zaś i czwarta cierpienia przynoszą,
Trzy ostatnie razem słowo boże głoszą,
A choć w religii pogańskiéj,
Służą przecież chwale pańskiéj.
Wszystko, niebezpieczne zaś bardzo narzędzie,
Jest u nas i na świecie, słowem bywa wszędzie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 12: *Odesa*).

Korespondencye Redakcyi.

Panu Haës: Dziękujemy, ale użyte nie będą. — Panu Józefowi Glinkiewicz w B.: Pierwsze numera Sobótki z przyszłego kwartału oczekiwać będą jego dyspozycyi w Poznaniu. — Panu M. Koniecznemu w Kostrzynie: Może nieco późniéj użyjemy. — Panu Dominikowi w ....: Niejasno i z téj przyczyny zamieścić niemożemy. — Pani Elizie K. w Galicyi: Opis jéj podróży po pięknéj Galicyi, bardzo byłby treścią swoją odpowiedni pismu naszemu; chodzi tylko o świeżą formę dla przedmiotu przez wielu już obrabianego. Nie wątpimy jednak, że Pani z zadania dobrze wywiązać się potrafiła i dla tego na manuskrypt oczekujemy. — Panu S. W. we Lwowie: Contre la force il n'y a pas des resistances. — Panu C. C. w Poznaniu: Oburzenie pańskie dziwi nas bardzo, odpowiedzieliśmy uwzględniając pańską miłość własną, a że drukować niechcemy, to mamy racyę, z któréj zdawać sprawozdanie niewidzimy potrzeby.

Od Wydawnictwa.

Przypominamy Czytelnikom naszym, że odnowienie prenumeraty na kwartał drugi się zbliża. — Sobótkę prenumerować można we wszyskich księgarniach i król. prusk. urzędach pocztowych; w Galicyi prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie po 1 Złr. 15 centów.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)